

Wojewódzka Biblioteka Publiczna  
Czytelnia  
w Opolu



Kolekcja  
Emila Kornasia

# ISKRY

Nr. 11—16 listopada 1935



# RYCERZ POLSKIEJ SPRAWY

Pułkownik-brygadjer

Czesław Mączyński.

---

WISŁAWA

---

O WSZECHNICĘ Jana Kazimierza we Lwowie, zaczęła się około 1900 roku zacięta walka.

Słuchacze-Ukraińcy atakowali coraz gwałtowniej polskość kresowej Almae Matris. Zakusy te odpierała młodzież polska.

Do najdzielniejszych obrońców należał Czesław Mączyński.

Ukończywszy gimnazjum w Jarosławiu, wstąpił tu na wydział filozoficzny. W świątku koleżeńskim wybił się od razu w dwóch kierunkach: W „Kółku Polonistów” kierował ruchem umysłowym młodzieży, a jako prezes „Bratniej Pomocy” i działacz niepodległościowy ujął w swe dłonie ster spraw akademickich dzięki swym niezwykłym zdolnościom organizacyjnym.

Obserwując uważnie rosnącą pod wpływem Austrii zachłanność Ukraińców, już wtedy lękał się jej zgubnych skutków. I później, jako profesor gimnazjalny i badacz lingwistyki porównawczej, śledził w dalszym ciągu rozwój stosunków „galicyjskich”.

W ciężkim znoju spędził Mączyński na froncie wschodnim lata wielkiej wojny. Przymusowy oficer artylerji austriackiej — i teraz nie spuszczał z oczu biegu politycznych wydarzeń. Przydzielony z wiosną 1918 r. do komendy armji IV we Lwowie, widział, że władze wojskowe rozdają hojnie broń Ukraińcom, odmawiając jej jednocześnie ludności polskiej...

Po dłuższych przeto zachodach wyśtarzał się Mączyński w generalnej komendzie austriackiej, iż magazyny wojskowe we Wschodniej Galicji bywały stale zaopatrzone w broń i amunicję.

Jakże zbawienną dla naszej sprawy okazała się wkrótce jego przezorność!

Jednocześnie zawiązał Mączyński Polskie Kadry Wojskowe (P. K. W.), tajną organizację, skupiającą rodaków z wszystkich zaborów.

Podstępny zamach Ukraińców 1918 r. nie był dla Mączyńskiego niespodzianką. Pamiętnej tej nocy (z 31/10 na 1/11) zebrali się w przeczuciu nadchodzących wypadków bawiący we Lwowie przedstawiciele kilku polskich tajnych organizacji wojskowych. Uchwalono rozpocząć w razie potrzeby jednolitą akcję wojenną. Naczelnym Komendantem został Czesław Mączyński.

Mógł nareszcie komendant zrzucić wstrętny mundur austriacki i przedzierzgnąć się w Rycerza Polskiej Sprawy.

Porwała się znikoma zrazu garstka ludzi do obrony godności narodu. Nie można było dopuścić, aby Ukraińcy mieli się pochłubić przed kongresem pokojowym, iż zajęli Lwów...

Sztab Naczelnej Komendy postanowił opanować przedewszystkiem zachodnią część miasta. Tu znajdowały się bowiem ważne budynki dla akcji wojennej. Dworzec główny z magazynem broni, zapasy broni w rezerwowym szpitalu na Politechnice. W pobliskich Dublanach, Sokolnikach, Rześnie Polskiej były rozlokowane armaty.

Plan okazał się świetnym. Akcja mobilizacyjna w kościele św. Elżbiety zasilala szeregi obrońców, przybywało zdobycznej broni, w krwawym trudzie odbierano napastnikom jedną ulicę po drugiej.

Komendant Mączyński, obojętny pozornie cywil, urzędował początkowo w najbliższym sąsiedztwie ukraińskiego sztabu. Później przenosił się kolejno do „polskiego”, to znów do „ukraińskiego” Lwowa.

O istnieniu Naczelnej Komendy dowiedział się ogół lwowian dnia 3 listopada z pierwszego anonimowego jeszcze komunikatu wojennego w „Pobud-



ce”\*(. A także z odezwy Komitetu Narodowego, który prowadził układy z ukraińską komendą.

Akcja bojowa coraz bardziej się rozszerzała. W siódmym dniu walki huknął pierwszy strzał polskiej armaty, a z chwilą zdobycia lotniska, śpieszyli gońcy do Krakowa i do Warszawy, wzywając pomocy.

Rządził i dozorował wszystkiego Mączyński wraz ze swoim sztabem. A pracowała Naczelna Komenda w bardzo ciężkich warunkach. Brakowało ludzi, brakowało broni, trzeba było starać się o żywność nie tylko dla wojska, ale i dla ludności, mieszkającej wzdłuż linii bojowej.

Czesław Mączyński przewodził Naczelnej Komendzie nie tylko na mocy stanowiska, lecz także inicjatywą, czynami, żelazną wolą. Surowy i wymagający w służbie, poza służbą był serdeczny, szczerze otwarty...

Niezlomną wiarą w bliskie zwycięstwo, krzepił ducha zdenerwowanej ludności i znużonych śmiertelnie żołnierzy. Był duszą i mózgiem obrony Lwowa.

„Żołnierze! — brzmiała jego odezwa-komunikat z 16 listopada. — Jestem pewny, że wszyscy w boju nie dacie przełamać waszej woli i ducha...

„że potraficie wytrwać aż do tej wielkiej chwili, która przyjdzie w najbliższych dniach — całkowitego zwycięstwa”.

Mączyński wydał 18 komunikatów bojowych. Dziewiętnasty, z dnia 22 listopada 1918 roku, podany o godz. 6 rano, oznajmił Polsce i światu cudowny triumf:

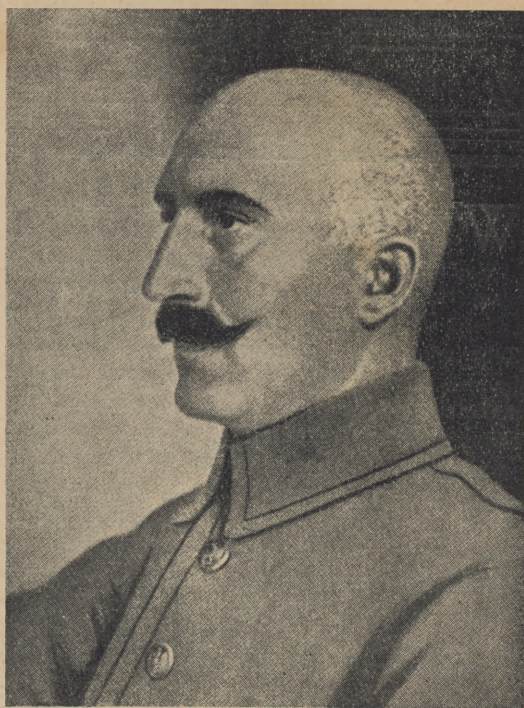
„...Opanowaliśmy dziś nad ranem całe miasto...”

Dnia 12 grudnia tegoż roku utworzono z większości obrońców Lwowa Brygadę lwowską, dowódcą jej został Czesław Mączyński.

\* \* \*

W lecie 1920 roku, gdy wschodniej Małopolsce groził zalew bolszewicki,

\*) „Pobudkę” drukowano w „polskim” Lwowie, skąd mali kurjerzy przemycali ją po całym mieście.



Czesław Mączyński (1881 — 1935).

Naczelny Wódz powierzył brygadjerowi Mączyńskiemu tworzenie Małopolskiej Armji Ochotniczej.

Na zew ukochanego dowódcy zgłosiło się do szeregów tysiące ochotników. I tych natchnął Mączyński bezgranicznym poświęceniem.

Jeden z jego oddziałów przetrzymał krwawo w ciągu kilkunastu godzin, u bram Lwowa (pod Zadwórzem), głośną konnicę Budiennego. Większość oficerów i żołnierzy legła na polu chwały, umożliwiając Wodzowi bohaterstwem swoim przerzucenie wojsk na linię bojową dla ratowania Warszawy i Lwowa.

Dwa lata później wybrano Mączyńskiego posłem do Sejmu. Jego zasługą jest ułożenie ustawy, która stała się podwaliną organizacji wojska polskiego.

W randze pułkownika przeszedł Mączyński w 1929 roku w stan spoczynku. Posiadał krzyż „Virtuti Militari”, Krzyż Walecznych (4-krotny), Krzyż Niepodległości z mieczami. Był także prze-



**W**ŁAŚCIWIE A, B, i C a nawet D. Ale C to już uniwersytet, a D — senne marzenie.

Wykształcenie niższe i średnie dostępne dla wszystkich nieomal — to A i B. Mówię, oczywiście, o kategoriach pilotów szybowcowych. Żeby mieć prawo do odznaki „białych ptaków na błękitnym tle“, trzeba najpierw zdobyć świadectwo lekarskie, co, jak sprawdziłam, jest rzeczą bodaj najtrudniejszą, potem to już tylko pozostaje kupić bilet i jechać do jednej z licznych szkół. I wszystko dalej toczy się zwykłą koleją. Nowicjusze i parę nowicjuszek (przeważnie ucząca się młodzież) spoglądają z szacunkiem na zaawansowanych kolegów, a już z podziwem na instruktorów, którzy w powietrzu czują się, jak u siebie w domu.

Potem wprawia się nowicjusz w ciągnięciu liny, ani człowiek spostrzeże, cały świat przestaje istnieć. Najważniejszą rzeczą jest: jaki wiatr? czy będą loty? czy ja będę latała, względnie latał?

Najtrudniejszy w życiu jest początek, to też najwięcej emocji, a i rozbitych maszyn jest przy sznurach i skokach — lotach 5 — 10 sekundowych. Mój Boże, ile człowiek głupstw potrafi zrobić w ciągu 5 sekund!

Robi to z przejęciem: zapina pas, patrzy z napięciem w punkt, wyznaczony przez instruktora na horyzoncie, ścisiska knypel w rękę, tak, że nieomal sok z niego cieknie, i obiecuje sobie wypełnić zadanie całkowicie.

Tymczasem pada komenda: puść! I? I nic. Gwizdnęło, szarpnęło, stoi.

A tu instruktor robi uwagi: „Wisiał pan wodniczącym Kapituły Krzyża Obrony Lwowa.

Osiadł na roli w Wierzbowie, pod Brzeżanami, w osadzie Obrońców Lwowa.

Dnia 16 lipca bieżącego roku, pułkownik - brygadjer Czesław Mączyński połączył się na wieki ze swymi żołnierzykami. Żył lat 54. Spoczął na Cmentarzu Obrońców Lwowa.

KONIEC

(pani) na lewą stronę, prawej lotki tem się nie zrównoważy, to nie rower! Kierunek zły, pewno pan (pani) patrzył na ręce, a nie na wskazany punkt“.

Błędny nowicjusz uwierzyłby, żeby mu powiedzieć, że wogóle wysiadł, a potem znowu wsiał. Odpowiada zatem pokornie: „Nie wiem, panie instruktorze, bo, bo nie nie widziałem...“

Pocieszony, że następny szur będzie lepszy i że kiedyś nie tylko trzy drzewka na horyzoncie, ale i całą okolicę zobaczy z szybowca, odchodzi wzmocniony na duchu.

Są szczęśliwcy, którym odrazu samo idzie, ci awansują błyskawicznie ku zazdrości reszty. Są i tacy, w których ptasi instynkt budzi się później, i trochę takich, którym wcale... W każdym bądź razie cierpliwość instruktora przy początkowym szkoleniu jest wystawiona na niebyłą próbę.

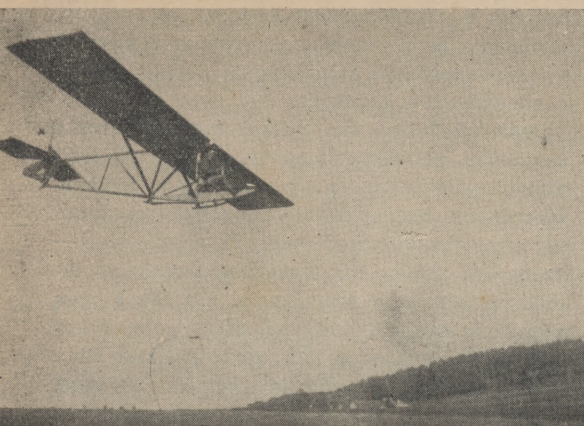
Jeden kręci wirażę już przy pierwszych skokach, drugi ciągnie do siebie knypel ruchem serdecznym, maszyna staje dęba, a instruktor, któremu włosy stają dęba, jest to bowiem pozycja niebezpieczna dla nowicjusza na szybowcu, woła za nim „Pik! Pik!“, co oznacza: odsuń knypel od siebie. Możliwości nieprzewidzianych akrobacji są nieograniczone, choć zdawałoby się ruchów zasadniczych jest tylko sześć. Tak, ileż to jednak pięknych akrobacji wykonywa mistrz za pomocą tychże ruchów skombinowanych tylko chytrze.

Prędzej czy później wszystkich patałachów nauczy cierpliwy instruktor tłumaczeniem,

*Nowicjusze ciągną liny, by szybowiec wypuścić w powietrze.*







*Szybowiec w locie.*

prośbą, groźbą zawieszenia (najstraszniejsza groźba!), albo żartem.

— Myślę, że pani ma prawą nogę dłuższą—oświadcza instruktor niefortunnej pilotce, która po raz trzeci ląduje w kapuście.

Nie jest miło mieć jedną nogę dłuższą, więc następny lot jest już prosty.

Żart jest nieodstępnym towarzyszem na szybowisku, życie dostarcza wiele powodów do wesołości.

Mówi się wyłącznie terminami szybownicze—mi i ktoś, wracający do domu po deszczu, opowiada: „Już był ślizg nad samą ziemią, ale maszyna miała szybkość i wyrównała tuż nad ziemią”. To znaczy poprostu: „omal że się nie wywróciłem”.

Są i smutki. Nie jest rzeczą miłą rozbić maszynę i być przyczyną przerwania lotów, albo po pierwszym udanym locie wrócić z promienną miną do instruktora i dowiedzieć się, że się jest zawieszonym, bo z wielkiej radości zapomniało się przypiąć knypla, co jest takim samym grzechem, jak wystawić świecę, albo wylądować na końskim ogonie. Bo i to się zdarza, proszę państwa...

Z szybowiska wraca się do domu z tęsknotą do następnych lotów i z dużym zasobem doświadczeń życiowych.

— Nie trać nigdy celu z przed oczu—mówi ten, co lądował w kapuście czy w rowie.

A z łagodną wyrozumiałością patrzy się na znajomych, którzy pytają:

— Ile czasu pan (pani) latała?

— 30 i trochę więcej—odpowiada pilot ka-

# WALKA O CHLEB

Amerykańska pszenica —  
ze stepów rosyjskich.

LUDWIK RON

**H**ISTORIA życia i pracy Marka Alfreda Karltona, człowieka, który uratował amerykański północo-zachód od śmierci głodowej—jest jednym z epizodów z długiej i uporczywej walki ludzkości o chleb—w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Początki tej wielkiej walki giną w otchłani wieków i żadne kroniki ani napisy na kamieniach nie mówią o tem, kiedy i jakie ludy—aryjczycy, mongołowie czy semici—na podstawie tysiącletniego doświadczenia wzięli się do siania, zbierania i młócenia ziarn chlebowych, stanowiących i dziś—jak przed dziesiętkami tysięcy lat—ważny produkt odżywczy ludności oceanicznej cywilizacji. Nieznanemi pozostają też imiona ostatnich bojowników o chleb, którzy na przestrzeni tysiącleci udoskonalili kulturę ziarn chlebowych i zrobili z nich to, czem są one obecnie. Pomnik „Niezanemu rolnikowi” nie został po dziś dzień wystawiony.

Temu, iż Marek Alfred Karlton, który wzbogacił Stany Zjednoczone o dziesiątki milionów dolarów, umarł w nędzy i zapomnieniu. Niema się co dziwić—przedłużył on jedynie tradycję długiego szeregu dobroczyńców ludzkości.

Karlton urodził się w r. 1876 w Jerozolimie, małej mieścinie stanu Ohio. Gdy miał 10 lat, rodzina jego przeniosła się do Kansas. W wieku lat 21 kończy kanzaską szkołę rolniczą, przyczem wykształcenie jego znacznie górowało nad wiedzą jego profesorów. Wiedzę swą zawdzięczał Karlton przedewszystkiem samemu sobie i tej okoliczności, iż nigdy nie zamy-

tegorji A, — przeszło 60 — z dumą odrzecz pilot B.

— Tylko?

Tak tylko. Tylko podczas lotu można się dowiedzieć, co znaczy sekunda, i tylko na szybowisku—ile krótkich i nieważnych godzin trzeba czekać na długą i cenną sekundę.

KONIEC.



kał się w czterech ścianach pracowni; gabinetem jego pracy były płaskie, dyszące żarem stepy Kanzasu, znajdujące się między 55 i 59 południkami, słynące z płodnej ziemi, nagłych zmian pogody, wczesnej surowej zimy i potężnych wichrów. W ciągu dnia Karlton włóczył się po łąkach i polach, a po nocach uczył się łaciny — nie poto, by czytać w oryginalne antycznych poetów, lecz w tym celu, by rozumieć nazwy roślin i ich szkodników. Mieszkał bowiem w kraju chleba i życie jego było silnie związane z życiem chleba.

Ofiarowanej katedry w miejscowym uniwersytecie Karlton nie objął, wolał bowiem zostać kierownikiem stacji doświadczalnej, aby być bliżej pszenicy. Tu udało mu się dokonać ważnego odkrycia. Wybitni botanicy Europy i Ameryki uważali, iż „rdza“ przenosi się z owsa na zboże, a ze zboża na pszenicę. Karlton, posiadający tę nieprzyjemną cechę, iż nikomu i niczemu nie wierzył, dopóki sam doświadczalnie nie przekonał się o słuszności twierdzenia, wziął się do zbadania ogólnie przyjętego poglądu i wykazał jego błędność; w rzeczywistości wszystkie ziarna posiadały swoje własne specyficzne pasożyty.

W dowód uznania za dokonane odkrycie Karltona przeniesiono do Waszyngtonu i postawiono na czele naukowego departamentu, sprawującego pieczę nad życiem całej pszenicy Stanów Zjednoczonych. Personel departamentu składał się z jednej maszynistki i kilku nędźnie opłacanych współpracowników. A ludność Stanów Zjednoczonych nie wiedziała wcale o istnieniu tej instytucji. Karlton nie był wcale zmartwiony tym stanem rzeczy, i, zakasawszy rękawy, wziął się do roboty.

Doświadczenie kanzaskie nauczyło go jednej cennej zasady, tej mianowicie, iż nie można zwalczyć złych sił przyrody, lecz można wykorzystać jej dobre strony. Żadne chemiczne środki nie działały na pasożyty pszenicy, lecz oto w tym czasie, gdy w Kanzasie ginęły wielkie przestrzenie zielonych pól, na innych obszarach pszenica rosła doskonale. Karlton postawił sobie za zadanie wynalezienie „dobrej pszenicy“. Ze wszystkich krańców kuli ziemskiej sprowadził sobie wzory lokalnej pszenicy — „onigare“ z Japonji, „imperatorską“ z Niemiec, „girkę“ z Rosji, „prolifero“ z Włoch, „chafkani“ z Turcji, „rattling Jack“ z Australji. W stanie Maryland zorganizował

Karlton wszechświatowy kongres pszeniczny, zasiawszy w rzędach i zaprenumerowawszy wzory wszystkich, istniejących na naszej planecie rodzajów pszenicy.

Doświadczenie nie udało się — dojrzały wszystkie gatunki pszenicy, a „rdza“, jeśli gdzieś ukazała się, nie była szkodliwą. Niezrażony tym wynikiem Karlton postanowił eksperymentować dalej. Nic dziwnego — tłumaczył sobie — iż pszenica rośnie w łagodnym klimacie Marylandu, ale jakie będą wyniki w stepach Kanzasu, gdzie jesienią hulają suche i gorące wiatry, gdzie podczas zimy ziemia staje się twardą jak kamień, słowem, w naturalnych, a nie w cieplarnianych warunkach należy zaobserwować, jaka pszenica pobije rekord wytrzymałości.

Międzynarodowy kongres pszeniczny przeniósł się więc do Kanzasu i rozgościł się na ziemi pewnego farmera, który zgodził się na bezpłatne gośczenie „kongresowiczów“, rząd bowiem nie dał grosza na przeprowadzenie tego eksperymentu.

Zima roku 1897 była prawdziwą „kanzaską“ zimą, taką, jakiej potrzebował Karlton. Z półtora tysiąca pszenicznych „delegatów“ ocalało zaledwie stu, w której to liczbie były i rosyjskie gatunki. Podczas swych długich wędrówek po pszenicznych rejonach północno amerykańskiego kontynentu, od doliny Czerwonej rzeki na północy do Amarillo w Teksasie, Karlton spotkał się z rosyjskimi sekcjarzami Mennonitami, którzy z dalekiej ojczyzny przywieźli ziarna swej starej „tureckiej“ pszenicy. Dokoła panował nieurodzaj, a turecka pszenica dawała 30 buszli z akra. Karlton zasypywał Mennonitów pytaniami, lecz nie potrafili oni zaspokoić ciekawości uczonego.

„Muszę się wybrać do Rosji“ — postanowił Karlton. Referenci ministerjum rolnictwa nie wiedzieli, jak sobie poradzić z jego uporem. „Wszak mapy naszego środkowego Zachodu w zupełności odpowiadają mapom Rosji. Takie same obszary! Lecz w naszych prerjach rośnie pszenica, nieprzystosowana do naszego klimatu, która trafiła tu przypadkowo, podczas gdy w Rosji pszenicę sieją od wieków i przeto jest to gatunek, który przyzwyczaił się do miejscowego klimatu. Tej pszenicy nam potrzeba“.

Wskazano mu na ważną przeszkodę w realizacji wyjazdu — jego nieznajomość języka



rosyjskiego. Karlton natychmiast zabrał się do studjowania rosyjskiej gramatyki. Wreszcie żelazna wola Karltona zwyciężyła. W r. 1898 był już w Rosji i po krótkim pobycie w stolicy wyruszył na długą włóczęgę po bezkresnych równinach rosyjskich. Drogę odbywał bądź konno, bądź furą, zupełnie sam, tygodniami mieszkając w chłopskich chatkach i z trudem porozumiewając się z brodatymi „mużykami“, którzy podziwiali dziwnego Amerykanina, szukającego dobrej pszenicy.

Karlton zawędrował aż do turgajskich stepów, nauczył się mówić nawet po kirgiskiu i tam na południo-wschód od Orenburga, w kraju, gorącym jak Sahara, znalazł to, czego szukał — twardą, jakby ogniotrwałą „kubankę“, prawdziwie tuziemną pszenicę, wytrzymałą na mróz i upał. Teraz z triumfem wracał do kraju.

Trzeba było przezwyciężyć opór ministerjalnych radców i zdobyć kredyty na nowe doświadczenia, a dojść do porozumienia z kancelarjami było o wiele trudniej, niż z turgajskimi Kirgizami. Wreszcie rosyjską pszenicę zasadzono maleńkimi wysepkami wzdłuż całego południka od Amarillo w Teksasie aż do Czerwonej rzeki. Po upływie roku dyrektorzy stacji doświadczalnych donieśli, iż „Kubanka“ dała 30 buszli, podczas gdy lepsze gatunki „niebieskiej“ pszenicy, dumy północno-amerykańskich farmerów, dały zaledwie od dwóch do ośmiu.

Wyłoniła się jednak nowa przeszkoda — młyny odmówiły mielenia grubej rosyjskiej pszenicy i farmerzy przeznaczili ją na pokarm dla świń. Wtedy Karlton, którego żadne przeszkody nie odstraszały, wyjaśnił, iż w Europie z „Kubanki“ produkują lepsze gatunki makaronu i wszczął silną i szeroko zakrojoną propagandę na rzecz produkcji makaronu w Ameryce. Jednocześnie zaczął uczyć młynarzy techniki przetwarzania kubanki.

W r. 1904, przyroda, łaskawa dla tych, którzy rozumieją jej prawa, dowiodła słuszności poglądów Karltona. W roku tym wybuchła katastrofalna epidemia „rdzy“. W Nebrasce zapadła „niebieska“ pszenica — „kubanka“ natomiast dała 25 buszli z akra. W Dakocie zginęło 50 procent „niebieskiej“ — „kubance“ rdza nic nie zaszkodziła. Ministerjum rolnictwa było oblegane przez zrozpaczonych far-

merów, domagających się ziarn rosyjskiej pszenicy.

W r. 1907 zbiór „kubanki“ dał 30 milionów dolarów zysku; suma ta o trzy tysiące przewyższyła wszystkie rządowe wydatki, związane z zaprowadzeniem tego gatunku pszenicy, a dziesięć tysięcy razy przewyższyła roczną pensję Karltona. W r. 1914 połowę zbioru wszystkich ozimin Stanów Zjednoczonych — 80 milionów buszli — dostarczyła „kubanka“.

Na tem właściwie możnaby skończyć historję. Dalszy bowiem ciąg dotyczy tylko Karltona. Życie jego było nadzwyczaj ciężkie. Miał dużo kłopotów rodzinnych i cierpiał na reumatyzm stawów. Skromna pensja nie wystarczała na życie, brnął więc w długi. Gdy domek jego sprzedano celem zaspokojenia wierzycieli, Karlton pożyczył od jednego z przyjaciół 4000 dolarów, ażeby nabyć farmę owocową i tam osiedlić swą rodzinę. Rząd długo tolerował niepoprawne postępowanie Karltona, lecz tu nie wytrzymał — pożyczyć taką sumę pieniędzy, zajmując rządową posadę, i to w dodatku od człowieka, znajdującego się w opozycji w stosunku do rządu! Karltonowi poradzono więc, by podał się do dymisji.

Karlton zginął z horyzontu. Po pewnym czasie jego wierzyciele zaczęli otrzymywać niewielkie sumy na poczet długów, przekazy nadchodziły to z Panamy, to z Hondurasu, to znów z Peru — bez żadnych komentarzy. W r. 1925 Karlton umarł w wypadkiem peruańskim miasteczku. Człowiek północy, przywykły do chłodnego klimatu amerykańskich preryj, nie mógł znieść niezdrowego tropikalnego klimatu i padł ofiarą malarji. W oficjalnych pismach — o Karltonie, człowieku, który wzbogacił Amerykę — nie ukazała się najmniejsza wzmianka — wszak w chwili śmierci nie był już urzędnikiem państwowym. Pamiątka po nim są bezkresne pola falującej „kubanki“, która zwyciężyła amerykański klimat.

KONIEC

## OKAZJA DLA SZKÓŁ

Komplet minerałów tatrzańskich (granity, dolomity, numulity, kryształy kwarcu, kalcytu i t. p.) w stylowym pudełku

wraz z przesyłką — 5 złotych

Zamawiać: Kłonecki, Zakopane, Sobczakówka



# POD STARYM WYKROTEM

O niedźwiedziu w Polsce.

inż. WŁODZIMIERZ LINDEMANN

O STRY, zimny wiatr dmuchał złośliwie, szamotał się z wysmukłymi świerkami. Spadając z gór, potężnymi skrzydłami swoimi starał się obalić dumnie wznoszącą się ścianę lasu, osłoniętą grupami drzew, pokoszonych w ustawicznej walce z żywiołem, — stanowiących przednią straż. Jeszcze wyżej po zboczach, fantastycznie łożyskami potoków i rozpadlinami poszczerbionych, ciągnęło się zbawcze dla lasu przedmurze kosodrzewiny — sosny górskiej.

W zacisznym zakamarku leśnym, osłoniętym przez strome urwisko i gęste zarośla młodzieży świerkowej i krzewów, spoczywał od czasów niepamiętnych stary zmurszały, mchem i porostami pokryty wykrot. Niebotyczny świerk zwałił się, zwyciężony impetem wichru. Wokoło zgromadziły się stosy drobnej leżaniny — świerczki uschnięte, gałęzie ułamane. Pod olbrzymim pnem wytworzył się głęboki czarny dół, gdzie wiatr nawiał sporo igliwia, liści i gdzie nagromadziły się przeróżne szczątki drzewne.

Teraz, gdy w górach stawało się coraz zimniej i nieprzytulniej, niedźwiedzica postanowiła sporządzić sobie pod wykrotem wygodną i ciepłą gawrę. Z nadzwyczajną troskliwością i pieczołowitością ugniatała podściółkę w barłogu i przywalała po bokach stosy chróstu.



Lato i wiosnę spędziła w śmieszności. Słodkich korzonków, padliny, owadów, zwierzaków rozmaitych, a później jagód i grzybów było pod dostatkiem. W niżej położonych miejscach nie brakło też pól uprawnych, które warto było odwiedzać. Jesienią upasła się jeszcze więcej. Od czasu do czasu urozmaicała swoje uczty jakąś zabłąkaną owieczką.

Jej dzieci zeszłoroczne — piastunami zwane — puściły się już samopas, kryjąc się w pobliżu matki, lecz w osobnych barłogach. Ona teraz całkowicie była zajęta troską o nowe, które przyjdą na świat w zacisznej gawrze — w środku zimy surowej, gdy lasy w śnieżnych zaspach utoną, gdy nad ciepłą kryjówką niedźwiedzi wichury i zawieje przewalać się będą. W gawrze wtedy dobrze i przytulnie będzie małym niedołącznym niedźwiedziątkom, które po urodzeniu się niewiększe są od szczura i mają szaro-żółte futerka. Po dwóch tygodniach ciała ich pokryją się gęstą brunatną kędzierzawą sierścią, rosną one jednak powoli — w marcu bywają wielkości zaledwie królika.

Troszcząc się o zdrowie i wygodę dzieci, których bywa zwykle dwoje (matka trzech malców powinna się tem szczycić) niedźwiedzica dłużej pozostaje w gawrze, niż samiec, i opuszcza ją tylko wtedy, gdy śnieg stopnieje i młode mogą za nią podążać. Przez kilka tygodni przebywa w pobliżu barłogu, ucząc dziaćwę, jak szukać ma pokarmu i jak łączyć po drzewach. W razie niebezpieczeństwa dzielnie staje w ich obronie i łatwo odpędza żarłoczne, krwiożercze wilki, tak licznie występujące w dzikich zakątkach Karpat. Ze szczególnym poświęceniem broni swoje pociechy, gdy nieco podrosną, natomiast zupełnie małe i niezaradne, niemogące jeszcze uciekać, czasami przerażona matka opuszcza.

Na wiosnę, gdy śniegi stopnieją, lub nawet wcześniej, niedźwiedzie ostatecznie opuszczają gawry. Czasem wstają one i w czasie dłuższych odwilży zimowych, aby po zaspokojeniu głodu pograć się w dalszą drzemkę. Zdarza się to dosyć rzadko. Zwykle przed zaleganiem niedźwiedź zachowuje djętę, a po obudzeniu się na wiosnę najpierw spożywa jagody, wygrzebuje je z pod śniegu, a potem dopiero szuka treściwego pożywienia. Na Polesiu ulubionym jego przysmakiem w tym czasie są przemarznęte żórawiny...



Początkowo Jerzyk próbował protestować, ale jeżeli tylko wynikała jakaś awantura, Gaston natychmiast „szedł sobie” do Karola grać w krokieta na jego pięknym, nowym placu, a Bożenka i chłopcy zostawali sami i bardzo smutni. Dano więc spokój, aby tylko był, aby tylko chciał się z nimi bawić ten ładny, wesoły chłopiec, bez którego już nie wyobrażali sobie życia. Nawet trzeźwa, energiczna Bożenka nie wносиła żadnych protestów. I w jej oczach Gaston był nadzwyczajny i trzeba mu było wszystko wybaczyć.

— Może, gdybyśmy mieli także plac krokietowy, Gaston nie odchodziłby do Karola — szepnął raz ci-chutko Franek, ale Bożenka wzruszyła na to ramionami.

Wiedziała, że to wcale nie to, tylko poprostu Karol imponuje Gastonowi swoją pewnością siebie i tem, że należy jakoby do „najlepszego towarzystwa” w miasteczku. Dla dzieci z miasteczka te sprawy nigdy nie były warte uwagi, ale Gaston myślał o tem jakoś zupełnie inaczej.

Więc Karol właśnie wydawał się Gastonowi „bardzo miłym”, choć w rzeczywistości był pyszałkowaty i arogancki a nadto często za oczami wyśmiewał się z Gastona. Czyż tak postępuje prawdziwy przyjaciel? A przecież mimo wszystko Gaston o wiele lepiej uczył się od Karola i zawsze pomagał mu pisać wszystkie ćwiczenia i wypracowania. Bożenka była szalenie ciekawa, jak teraz da sobie radę Karol z ostatniem



ćwiczeniem na dowolny temat z historii, gdy Gaston nie będzie mógł mu pomagać. Przytem sprawa jest niebylejaka, gdyż jest to decydujące wypracowanie na cenzurę bożenarodzeniową, a stopień, uzyskany z niego, miał wpłynąć na miłe lub niemiłe spędzenie świąt. Bożenka o sobie nie potrzebowała się martwić; miała za sobą już kilka dobrych not z historii, więc ostatnie wypracowanie nie mogło już wiele pomóc ani zaszkodzić.

Gaston jednak przybył późno, więc powinien się specjalnie postarać. Najtrudniej było z wyborem tematu, bo każdy miał pisać o czym innem. Gaston podobno obrał sobie Kazimierza Wielkiego, Karol — Władysława Łokietka. Tym sposobem będzie mógł także korzystać z materiałów Gastona, pomyślała Bożenka, ale ostatecznie co ją to mogło obchodzić.

Sama postanowiła opisać panowanie Przemysława Wielkopolskiego, gdyż był on założycielem miasteczka, więc przedewszystkiem zasługiwał na uwagę. Przytem wiedziała o nim dość dużo, nietylko z podręczników i sądziła, że zrobi coś wartościowego.

Kto mógł przypuścić, że książę Przemko i jego niewesołe zresztą losy wprowadzą tyle zamieszania w życie Bożenki.

Byłoby może wszystko gładko poszło, gdyby nie fakt, że wypracowaniem Bożenki ni z tego ni z owego wszyscy w domu zaczęli się interesować. Chłopcy



wiecznie tkwili jej nad głową, zanudzając pytaniami i jak idzie, i czy umieści w wypracowaniu historję powstania miasteczka: matka ciągle wypytywała, kiedy skończy i czy już dużo ma zrobionego, wreszcie przybiegała Irka po rady. A przy sposobności zwierzała się ze wszystkich swych kłopotów z powodu skomplikowanych nieporozumień rodzinnych Bolesława Krzywoustego.

Pogoda zepsuła się zupełnie, od rana do wieczora siał prawdziwie jesienny drobny kapuśniaczek, ogród stał się odrazu obcy, daleki i niepotrzebny, a za to dom nabrał cech ważności i bliskości. Przyjemnieby było wtulić się w jego troskliwe ściany, gdyby nie to, że wszędzie było pełno chłopców. Cała sprawa zakończyła się wreszcie grubą awanturą z Frankiem, którego Bożenka sromotnie wyrzuciła ze szkolnego pokoju. Kto wie, coby jeszcze zaszło, gdyby nie nagle, a jakże pociągająca propozycja ojca.

— Bożenko — rzekł burmistrz, wchodząc do dziecinnego pokoju w chwili najbardziej naprężonej i ponurej — skoro piszesz o Przemysławie Wielkopolskim, to możebyś była ciekawa obejrzeć oryginał nadania naszemu miastu różnych praw i przywilejów. Idź więc, jeżeli chcesz, do archiwum miejskiego, jest otwarte, bo profesor przegląda stare papiery, tam pan Pierzchała pokaże ci odpowiedni dokument. Tylko uważaj, żebyś go nie zniszczyła, bo to niestychanie ważna i cenna rzecz.



Czyż Bożence trzeba to było tłumaczyć! Odrazu prysł cały jej zły humor, nawet odezwał się leciutki wyrzut sumienia, czy należało postąpić tak bezwzględnie z łagodnym Frankiem. Aby okupić choć w części swoją winę, zapytała, czy może wziąć ze sobą chłopców.

— Dobrze, tylko uważaj, żeby nie narobili tam nieporządku. I ubierzcie się ciepło, bo paskudna pogoda.

Te wszystkie uwagi były już tylko zwrotami retorycznymi, gdyż Bożenka wyskoczyła ze szkolnego pokoju z takim impetem, że tylko strzępy słów ojca doleciały ją w sieni. Za chwilę dzikie okrzyki radości zwiastowały światu, że nowina została odpowiednio przyjęta.

Nie zważając na paskudny deszcz i wiatr, cała trójka galopowała ulisą Rynkową w stanie radosnego podniecenia. W biegu Jerzyk zdołał zauważyć, że konie barona Ortwina, bogatego ziemianina z okolicy, stoją przed mieszkaniem dyrektora. Nie miał jednak czasu wyciągnąć z tego należytych wniosków.

Na rynku tempo biegu zostało zwolnione z winy szerokich kałuż, które rozlały się akurat na wszystkich drogach i przejściach. Gromady gęsi i kaczek rozkoszowały się tą niespodziewaną kąpielą i trzeba było mocno nałożyć drogi, żeby im nie zepsuć ich ptasiej radości. Tak przynajmniej skłonna była postąpić Bożenka, nastrojona teraz uprzejmie dla całego



świata, ale Jerzyk okazał się bezwzględny, gdyż cisnął małym okrągłym kamieniem w sam środek kacznej kąpieli, co wywołało taki niesłychany lament ptasi, że w oknach najbliższych domów ukazały się zdumione i zgorszone twarze. Jedną z nich była oczywiście twarz żony aptekarza, co było bardzo niepożądane dla Jerzyka, od stóp do głów ochlapanego błotem.

Nie było wątpliwości, że Stacja Nadawcza, jak nazywał Jerzyk żonę aptekarza, zacznie natychmiast funkcjonować, i zanim dzieci powrócą do domu, matka będzie najdokładniej poinformowana o przebiegu całej sprawy.

Wobec powyższych zajść mała krótka uliczka, prowadząca od Rynku do Zamkowej Góry, została przebyta we względny spokój, poczem cała trójka poczęła się mozolnie pięć pod górę krętą ścieżką. Weszli na górę z tak unurzaniem w glinie bucikami, że stary archiwariusz musiał najpierw oddać dzieci w ręce gospodyni Agaty, która doprowadziła szybko nogi dzieci do jakiegoś takiego stanu.

Moment czyszczenia był jednak wysoce bogaty we wrażenia, choćby dlatego, że kuchnia Agaty nie była zwykłą kuchnią, ale komnatą starego zamku, małą, ciemną, rozświetloną tylko wąskimi, gotyckimi oknami, zarośniętymi do połowy zielonym, wielolistnym bluszczem. W tym mroku wielkie miedziane rondle i patelnie świeciły niby liczne krwawe księżyce, a biały kaflowy piec wydawał się zabłąkanym tu zupełnie

przypadkowo. Aby nań nie patrzeć, wystarczyło już przejść do pokoju pana Pierzchały. Pełno tam było książek, zakurzonych papierów i przeróżnych dziwności. Tak to jakimś trafem uratowane od zagłady skrzydło starego zamku było miejscem doprawdy czarującem, w którym królował pan Pierzchała, siwy strażnik tajemnic.

Wprost z pokoju pana Pierzchały szło się długim sklepionym w łuki korytarzem do archiwum. Pan Pierzchała naprzód, dzieci za nim.

Archiwariusz nie był specjalnie zachwycony wizytą.

— Już i pan profesor ciągle tu przesiaduje, a teraz znowu dzieci. Wcale pracować nie można — mrucał pod nosem. — No, ale skoro pan burmistrz kazał, to, oczywiście, pokażę panie Bożence ten papier, ale zdaje mi się, że tego Bożenka nawet nie zrozumie. Toż to po łacinie pisane, po dawnemu, starym sposobem, a i zamazane nieraz. Ho, ho, wieleż to lat pergamin ma już temu. Małym chłopcem byłem, ot takim jak Franic, kiedy mi ojciec, także archiwariusz, świeć Panie nad jego zaciętą duszą, pierwszy raz to pokazał i pierwszego słowa łacińskiego nauczył. Jak dziś pamiętam, że to było „Patria”, Ojczyzna znaczy. Jak dziś pamiętam.

Pan Pierzchała zamknął za sobą starannie drzwi sali i, podreptawszy szurającymi nogami do dużej szafy, z pomiędzy ciasno ułożonych teczek z aktami wy-



jął pęk kluczy i skierował się z nimi do następnej komnaty. Była ona wielka i przestronna, cztery słupy kamienne podpierały jej łukowe sklepienie, gdzieniegdzie porysowane niebezpiecznymi linjami. Jedno wąskie okno przepuszczało trochę światła. Było ono wysoko umieszczone i prowadziły doń trzy schodki kamienne.

Mebli nie było żadnych, tylko jedna wielka dębowa szafa oraz półki, zawałone zakurzonemi foljami. Wysoka drabina na kółkach, stojąca przy jednej z półek, wskazywała, że przed chwilą profesor czynił tu swoje uciążliwe poszukiwania. Pan Pierzchała skierował kroki ku szafie, która przy otwieraniu zaśpiewała jakąś przedziwną melodję.

Bożenka z nabożeństwem zajrzała do jej wnętrza, gdzie leżały pięknie poukładane i posegregowane najszanowniejsze papiery i pergaminy. Jeden z nich, ozdobiony wielką pieczęcią z orłem i jakimś bardzo skomplikowanym zawijaszem zamiast podpisu, został wręczony Bożence z surowem poleceniem, aby uważała i nie skruszyła pieczęci. Dziewczynka, trzymając oburącz szanowny pergamin, usiadła na kamiennych stopniach, prowadzących do okna.

Bożenka ganiła się w duchu za niefortunny pomysł zabrania ze sobą chłopców, którzy teraz, korzystając z nieobecności pana Pierzchały, zaczęli uganiać się po olbrzymiej sali, budząc po kątach drzemiące, hałaśliwe echo. Z ulgą też zauważyła dziewczynka, że

drabina przykuła wreszcie ich uwagę i że będzie teraz można delektować się względnym spokojem. Nadzieje jednak były płonne: chłopcy przysunęli drabinę do jednej z dalszych szaf i wyniesiony na szczyty Jerzyk począł grzebać na półkach, podnosząc przy tem niesłychane tumany kurzu.

— Jerzyk, zejdz stamtąd, bo pan Pierzchała będzie się gniewał, że ruszasz te papiery — błagała dziewczynka, zadzierając głowę do góry, ale nowy zwał kurzu, opadający na dół, zasypał jej oczy i przypawił o takie kichanie, że przez chwilę nie wiedziała, co się z nią dzieje.

— Ha, ha, ha, panna Posłusznicka, widzisz, jesteś ukarana za swoje nudne kazania — wrzeszczeli na wyścigi chłopcy i dopiero ich własne kichanie zdołało im zamknąć na chwilę usta.

— Zejdz, słyszysz, zejdz natychmiast, nieznosny chłopcze — krzyczała Bożenka. — Zejdz, bo cię zrzuć na ziemię — wołała dalej, trzęsąc drabiną, i kto wie, jakby się ta walka skończyła, gdyby nie to, że nagle wielka, ciężka książka wysunęła się z rąk Jerzyka i z hukiem spadła na ziemię, rozsypując się na tysiące kartek.

Bożenka oniemiała, ale nim zdołała zareagować jakoś na ten wypadek, Jerzyk, przejęty skruchą i przerażeniem, zjawił się na dole i drżącymi rękami począł zbierać rozrzucone kartki.



— Mój Boże, co teraz będzie, wszystko się rozleciało — szepnęła wreszcie przerażona dziewczynka. — Jerzyku, coś ty zrobił, patrz — zawołała nagle — cała oprawa się przedarła i jakieś papiery z niej wyleciały, tego nie można będzie zreperować.

— Daj, może się to da jakoś jeszcze ułożyć — rzekł zupełnie już pokornie winowajca, ale... co tobie, Bożenko? — zapytał nagle, widząc, że siostra otworzyła szeroko oczy i wydała przytłumiony okrzyk. — Czy jeszcze się coś stało?

— Nie, nie — odparła bladym głosem dziewczynka — poczekaj.

Bożenka skrupulatnie poczęła zbierać kartki, które wyleciały z podartej oprawy, i przyglądać się im ze zdumieniem. Kartki te, pokryte mało czytelnymi gryzmołami, nadpalone i podarte, nie wydały się Jerzykowi godnymi uwagi.

Kłęcząc na zakurzonej posadzce, Bożenka medytowała: nie było chyba wątpliwości, że leżała przed nią dziwnym cudem odnaleziona Księga Umarłych, bo rozpoznała ją wyraźnie po charakterze pisma i po nadpalonych brzegach. Co wobec tego powiedzieć chłopcom, w jaki sposób wybrnąć z całej sprawy, kiedy groźne słowo „przysioga“ stało między nią a ciekawością braci.

Dziewczynka była w tej chwili bardzo nieszczęśliwa. Ciężar dźwiganej tajemnicy był coraz bardziej skomplikowany i bardzo trudny do udźwignięcia nawet

dla tak dzielnej młodej osoby, jak Bożenka. Tak ją to wszystko rozżaliło, że mało brakowało, a zmoczyła-by łzami przyżółcone kartki, które trzymała w ręku.

W porę jednak przypomniała sobie, że w tak poważnej chwili nie można się mazać, jak pierwszy lepszy wstępniak i jednocześnie dojrzało w niej postanowienie: powie chłopcom prawdę, usuwając jedynie z całej sprawy osobę Anny, wobec czego przysięga zostanie zachowana w całości. Znała braci dobrze, wiedziała, że są bardzo solidni w utrzymywaniu wszelkich tajemnic, zrobiwszy więc odpowiedni wstęp, wyłożyła chłopcom całą sprawę Księgi Umarłych, owijając postać Anny w wiele mówiące określenie, jak: „pewna osoba“.

Efekt był niespodziewany, gdyż pierwszy raz chyba w swem niedługim życiu Jerzyk nie użył słowa „bujda“ do spraw niekoniecznie konkretnych. Franek natomiast, wzruszony do łez, podnosił co chwila palce do góry, przysięgając milczeć jak grób, choćby dostał w skórę, lub choćby mu kazano zjeść cały talerz kaszki na mleku.

Bożenka natychmiast odczuła radosną ulgę, że nie ona sama będzie teraz ponosiła odpowiedzialność za wszelkie sprawy, związane z Księgą Umarłych.

Złożono naprędce małą radę wojenną w sprawie drogocennych kartek i jednogłośnie postanowiono je zabrać, przepisać, a potem cichutko położyć na miejscu. Książkę złożono, jakgdyby nigdy nic i Jerzyk ze



wszelkimi oznakami ostrożności postawił ją na poprzednie miejsce. Pomimo doniosłości chwili, nie mógł powstrzymać się od uwagi, że gdyby nie on, cała sprawa tajemniczego księcia i jego skarbów nigdyby nie została wyświetlona. Bożenka, aczkolwiek niechętnie, przyznała mu rację, choć po chwili pomyślała, że profesor w swoich poszukiwaniach mógłby również natrafić na ich ślad.

Gdyby pan Pierzchała miał parę dziesiątków lat mniej, gdyby się więcej interesował sprawami ludzi współczesnych, zauważyłby napewno coś niezwykłego w zachowaniu swych małych gości. Gdy przyszli się z nim pożegnać, byli nad podziw grzeczni i spokojni, co dla człowieka bardziej spostrzegawczego niż pan Pierzchała, byłoby symptomatem niepokojącym. Starszy pan doznał jednak tylko uczucia ulgi, że wszystko tak gładko poszło.

Dzieci również.

Następnych parę dni po opisanych wypadkach, wbrew wszelkim oczekiwaniom, przeszło zupełnie spokojnie. Słota, panująca od tygodnia, zapisała szyby dziecinnego pokoju zawiłymi zygzakami strug deszczowych i pogłębiła jeszcze melancholję Bożenki, „przyskutej do łoża boleści”, jak twierdził ironicznie Jerzyk.

Tak, niestety, bogata we wrażenia wyprawa na Górę Zamkową, nie obeszła się bez ponurych następstw, z których katar Bożenki nie był najgorszym.

Stokroć przykrzejsza była rozmowa z matką. Nastąpiła ona bezpośrednio po powrocie i, doprawdy, lepiej o niej nie wspominać. Wystarczy zaznaczyć, że Bożenka nieomal chętnie pozwoliła się zapakować do łóżka, przeczuwając, że groza „choroby” załagodzi trochę gniewne nieporozumienia rodzinne. Nigdy jednak nie przypuszczała, że będzie musiała leżeć cały tydzień, nudny cały tydzień, a tymczasem w szufladzie stolika leżały sprawy niecierpiące zwłoki: nieprzepisane na czysto wypracowanie i, o zgrozo, niedbale w papier zawinięta Księga Umarłych.

Echa spraw, związanych z wypracowaniem, nie dały na siebie długo czekać, gdyż zjawiły się przy łóżku Bożenki w postaci Renaty i Irki, które przybiegły zaraz po lekcjach, niesłychanie przejęte awanturą w szkole.

Właściwie słowo „awantura” nie było może tu bardzo na miejscu, należałoby nazwać to zajściem, ze względu na powagę wypadków. No, ale mniejsza o to! Najważniejsze jest narazie absolutne zerwanie przyjaźni Gastona z Karolem i wielka bójka w klasie po lekcji, której konsekwencje ponosi teraz Gaston, siedząc w zamkniętej na klucz klasie.

— Ja mu się zresztą wcale nie dziwię — trzepała Irka — przecież on mu zwyczajnie ukradł wypracowanie i podał za swoje, zanim Gaston mógł zorjentować się, co się święci. Ale poco mu pożyczał do przeczytania?

— A co zrobił Gaston, gdy spostrzegł, że Karol podaje jego wypracowanie?



— Gaston zbladł tak mocno, że się zrobił zupełnie żółty, a potem gdy dyrektor jego zapytał, powiedział, że zapomniał w domu i że jutro przyniesie. Do jutra więc musi napisać nowe wypracowanie — rzekła Renata, załamując rozpaczliwie swe śliczne rączki o długich arystokratycznych paluszkach. — Nie może przecież podać identycznego ćwiczenia z Karolem.

— Ale na co właściwie liczył Karol, gdy robił takie świństwo? — rzekła w zamyśleniu Bożenka. — Czy sądził, że się nie wyda?

— Liczył na honor Gastona i wcale się nie omylił — odparła spokojnie Renata. — Zobaczysz, że nic się nie wyda, najwyżej Gaston odpokutuje za to wszystko.

— Ale Karol dostał, Boże, jak dostał! — wołała z satysfakcją Irka. — Kiedy po lekcjach podszedł do Gastona z tym swoim górnym uśmiechem, żeby całą sprawę w żart obrócić, Gaston uderzył go, tak uderzył, a potem zaraz zaczęli się bić i tak się bili, że nawet nie słyszeli, co do nich mówił wychowawca, ani nie słyszeli wejścia dyrektora. Dopiero kiedy Tomek zawołał im nad uchem: „Dyrektor“, przestali, ale już było za późno. Och, dyrektor był strasznie zły i zaraz zaczął się pytać, kto zaczął. Było mu ogromnie przykro, że to Gaston właśnie, bo nic się nie domyślał, że chodzi o to nieszczęsne wypracowanie. Karola odesłał do domu, bo mu krew z nosa leciała, a Gastona zostawił na dwie godziny w kozie.

— Ach, jak to jest niesprawiedliwie — westchnęła melancholijnie Bożenka — ale klasa musi jednak z Karolem coś zrobić.

— Naturalnie — rzuciła Irka. — Wszyscy są po stronie Gastona, przynajmniej wszystkie dziewczynki, prócz Wandy, i większość chłopców. Tłumaczą go trochę tylko ci, którym chodzi o jego plac krokietowy, o jego rower, lub o „honor” przyjaźni z synem dyrektora cukrowni.

Tu Irka umilkła, gwałtownie uszczypnięta przez Bożenkę, która uważała, że przy Renacie nie należało poruszać kwestji różnic klasowych. Bądź co bądź była ona najbogatszą i najbardziej ze „sfery” z całej klasy. Nikt się nie myślał tem przejmować, a najmniej ona sama, ale... o pewnych sprawach nie należało mówić przy niej.

Na całe szczęście dobra Renata miała czem innem zaprzątniętą głowę i nie słyszała nieopatrznych słów Irki.

— Najgorsze to — rzekła, — że Gaston przez tę całą głupią awanturę może dostać zły stopień z historii, bo nie wyobrażam sobie, żeby mógł napisać coś dobrego, tembardziej, że ma dwie godziny kary. Gdyby choć dwa dni, ale tak...

— Czekajcie — zawołała nagle Bożenka, olśniona swoim pomysłem — ja mam przecież gotowe wypracowanie, które po powrocie do szkoły miałam oddać. Niech Gaston je weźmie za swoje, bo ja i tak mam do-



bre stopnie, a dyrektor wie, że jestem chora, więc nie będzie nawet ode mnie wymagał.

— Hurra! — zakrzyknęła Irka — jesteś, Bożenko, naprawdę morową dziewczyną. Pobiegnę zaraz do gimnazjum i zaniosę Gastonowi to wypracowanie.

— A czy wpuszczą cię tam do niego? — zapytała zarumieniona z uciechy Bożenka.

— Nie, nie wpuszczą, ale podam mu przez okno. Gdzie jest to wypracowanie?

— W szufladzie w stoliku, ale uważaj...

Słowa te były już rzucone w pustkę, gdyż Irki już nie było w pokoju. Za chwilę dziewczynki ujrzały ją przez okno, przeskakującą wielkie kałuże i pędzącą co sił w kierunku ulicy Gimnazjalnej. Tak, Irka stanowczo była dobrą dziewczyną, choć może brakło jej tej subtelności odczuwania, którą mogła pochlubić się Renata.

Właściwie jednak Renata nigdy niczem się nie chlubiła, choć mogła mieć po temu milion i jeden powodów. Nie mówiła nigdy z dumą o pięknym majątku swych rodziców, położonym o parę kilometrów od miasteczka, ani o corocznych wyjazdach zagranicę, ani o pałacu z któregoś tam wieku, ani o parku, który latem miał tysiąc zapachów i tysiąc kolorów, a zimą ciszę i białosć z niczem nieporównaną. Była tam, w tych czarujących miejscach tylko przemiłą gospodynią, a koleżanki i koledzy całe dnie wakacyjne u niej spędzali i nigdy nie przyszło im do głowy, że to może być zaszczyt.

### III. Rozsypane kartki.

Nie mówiło się o tem, ale każde z dzieci pocichutku myślało, że z biegiem czasu Gaston okazał się zarozumiałcem. W stosunku do Jerzyka i Franka przybrał jakiś nieprzyjemny ton wyższości tak, że trudno było z nim rozmawiać, a Boženki, swojej największej przyjaciółki, wogóle nie raczył spostrzegać.

Można było jeszcze zrozumieć i wytłumaczyć, że nie chciał się bawić w Indjan, ani w wojnę, bo był ostatecznie na to za duży, ale przecież wszelkie wymyślone przez niego zabawy byłyby tak samo bardzo dobre, gdyby Gaston nie chciał koniecznie wszystkiemu przewodzić. Gdy budowali naprzykład z desek i korków aeroplan, ani Franek, ani Jerzyk nie mogli się właściwie do niczego dotknąć, bo Gaston natychmiast wołał:

— Zostaw, zepsujesz, nie potrafisz.

Tak samo przy grze w piłkę, przy wyścigach, przy wszelkich organizowanych przez Gastona zabawach Jerzyk i Franek, a nawet Boženka byli spychani na szary koniec wszelakich umiejętności.



Urządziła niedźwiedzica wygodne łożo dla przyszlých dziatek i nasłuchiwała i węszyła trwożliwie, spodziewając się lada chwila najgroźniejszego wroga — człowieka. Nie wiedziała, pocziwa włochatka, że nastały dla niedźwiedzi rajske czasy. A stała się rzecz wielkiej wagi. Myśliwi polscy — miłośnicy zwierza rodzimego, zrzeszeni w Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich utworzyli teraz Sekcję Ochrony Niedźwiedzia.

Dawniej niedźwiedzie liczne były na Wiłeńszczyźnie i wogóle na Litwie. W „Panu Tadeuszu“ na cześć kniej i mateczników litewskich z ich włodarzem niedźwiedziem wyśpiewał potężny hymn wieszcz narodowy, Adam Mickiewicz. Słyneły ze swoich niedźwiedzi puszcze poleskie. Bytowały one niegdyś i w zaczarowanych ostępach Białowieży wraz z zubrem, łosiem i wszelką inną, liczniejszą w owe czasy, zwierzyną.

Teraz liczba niedźwiedzi znacznie zmalała, a był czas, że całkowita zagłada im groziła. Najgorszym okresem była naturalnie Wielka Wojna, kiedy przez haszcze poleskie i przez dumne grzbiety Karpat hordy najeźdźców się przewalały i zostawiały po sobie pustkę i zniszczenie, kłusownicy miejscowi, korzystając z bezprawia i bezkarności, nadal swój morderczy proceder uprawiali i padały ofiarą tego zamętu odwieczni mieszkańcy naszych gór i kniej. Teraz na Polesiu pozostało 15 niedźwiedzi w lasach Agarkowa i Deniskowicz. W górach jest ich znacznie więcej. W lasach państwowych w Karpatach Wschodnich — w najdzikszym ich zakątku, co się wklinia między Rumunję a Czechosłowację, mamy dziś 115 sztuk (35 samców, 37 samic, 28 piastunów i 15 tegorocznych niedźwiadek). W dobrach prywatnych (Skole bar. Groedłów, Wełdzisz, Perehińsko, fundacja hr. Skarbka, Majdan) przebywa pokaźna ilość — 141 sztuka.

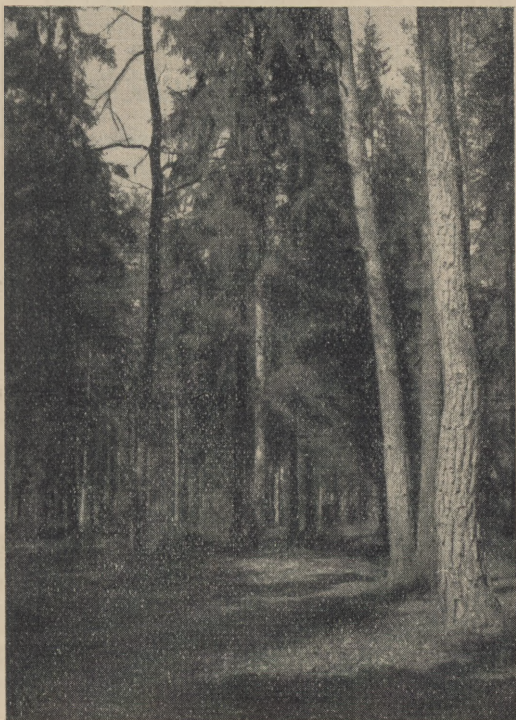
W Tatrach stwierdzono obecnie 4 sztuki przechodnie. A zatem w górach mamy 260 sztuk i na Polesiu 15 — razem 275 niedźwiedzi. Myśliwi polscy, troszcząc się o powiększenie tej ilości i chcąc poznać bliżej tryb życia niedźwiedzi, wzięli go pod troskliwą opiekę, zamykając polowania na okres 3-letni, i opracowali regulamin Sekcji, zapewniający Misiowi spokojny żywot.

Na walkę z kłusownictwem przeznaczony będzie specjalny fundusz, z którego kwoty



pewne jako nagrody za wykrycie złoczyńców będą wydawane. Te szlachetne poczynania powinny wzbudzić szczerą radość w sercach wszystkich przyrodników i miłośników naszego Misia i zachęcić ich do współdziałania z Sekcją, chociażby przez należenie do niej i powiększenia jej funduszów przez dobrowolne składki.

KONIEC





# WARTO PRZECZYTAĆ

UKAZAŁO się na półkach księgarskich drugie wydanie książki W. Lpińskiego „SZLAKIEM I BRYGADY” (Gł. Księg. Wojskowa). Autor tego pamiętnika sierżant 5 p. p., który nieprzerwanie pełnił służbę w swym pułku, z rzadką cierpliwością zapisywał z dnia na dzień swe przeżycia i obserwacje, a więc bitwy, marsze oraz wszystkie radosne i złe chwile Legionistów, poczynając od wybuchu wojny europejskiej aż do rozbitcia brygady. Przed oczami czytelnika przesuwają się piękne, lecz ciężkie i znojne szlaki zmagania legionowych: bitwa pod Krzywopłotami, Łowczówkiem, Konarami, walki nad Stochodem i Styrem, bitwy pod Kostjuchnowką i Sitowiczami — szlak tak obficie zalany krwią legionistów. Pamiętnik odzwierciedla nie tylko akcję bojową 1 Brygady Legionów, lecz również jej ducha, nastrój, ideologię oraz całe życie wewnętrzne, dając jednocześnie sylwetki pięknych postaci żyjących i poległych bohaterów legionowych.

Pamiętnik ten, napisany przez znanego historyka wojskowości, autora prac: „Od Wilna po Dynaburg”, „Wśród lwowskich orłat”, „Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905 — 1918” i wielu innych, jest nadzwyczaj ciekawą i pouczającą lekturą dla wszystkich.

Książka została polecona przez Ministerstwo W. R. i O. P., jako lektura szkolna.



Major pilot Stanisław Karpiński.

Książkę wydano starannie, na pięknym papierze oraz ozdobiono artystyczną okładką według rzeźby dłuta prof. Raszki i wielu (około 80) pięknymi ilustracjami w tekście. Liczy przeszło 600 stron druku.

## SZTANDARY PUŁKOWE.

*SZTANDARY niosą pułkowe,  
w wielu już bojach stargane,  
do których serca żołnierskie  
przyłgnęły...*

*Chylimy przed niemi głowę —  
niosą sztandary pułkowe.*

*Tysiące spojrzeń padało  
na Wasze barwy strudzone,  
oczy, gasnące wśród boju,  
miłośnicie sztandar objęły...  
a każde serce pałało,  
i tarczą przy znaku swym stało.*

*Wojsko rytm mocny uderza,  
piechota po drodze tej stąpa  
i drogą do sławy podąża...  
sztandary niosą...*

*Chylimy przed niemi głowę —  
sztandary niosą pułkowe.*

B. St. Kossuthówna.

POLSKA literatura lotnicza wzbogaciła się o nowe dzieło, pióra znanego w kręgach lotniczych i w całym społeczeństwie polskim, jako „srebrnoskrzydłego Afgańczyka”, majora-pilota Stanisława Karpińskiego. Nowa książka, zatytułowana przez autora „POLSKIE SKRZYDŁA w moich lotach długodystansowych” (Książnica-Atlas), zawiera barwny i niezmiernie ciekawy opis wrażeń z wykonanych przez niego 3-ech wielkich lotów długodystansowych. Autor wprowadza czytelnika w nieznaną, przeciętnemu człowiekowi czarowny świat przeżyć lotnika, który na polskich skrzydłach przemierza kolejno: całą Polskę w jednym roku, Europę w sześciu wielkich lotach, i następnie egzotyczne kraje Azji i Afryki, by z tym samym niesłabnącym zapałem przygotowywać gigantyczny lot do piątej części świata — Australii. Dedykacja na pierwszej stronie książki stwierdza, iż autor, widzący przyszłość Polski w młodzieży, — jej właśnie, młodzieży, „tęskniąc podświadomie do skrzydeł”, pracę swą poświęca w głębokim przekonaniu, że wzbudzi ona w niej serdeczne ukochanie naszego lotnictwa. Książka napisana jest w ten sposób, że każdy znajdzie w niej dla siebie cenne wartości: młodzieńczy zapał, pęd ku słońcu, radość życia i nieugiętą wolę, prowadzącą poprzez wszelkie przeciwności do jasnego zwycięstwa.



Z POŚRÓD postaci historycznych, dopominających się od potomnych pamięci, jedną z najżywszych i najaktualniejszych jest Krzysztof Arciszewski, starszy nad armatą koronną czyli generał artylerji za Władysława IV i Jana Kazimierza. Był on polskim pionierem kolonialnym, choć nie dla Polski, lecz dla Holandji zawiódł Brazylię. W swych wyprawach zdobywczych wypełnił sławą swego oręża burzliwe dziesięciolecie, zdobył dla Holandji całą prawie Brazylię, Parahibai i Parnambuco, stany, w których tak licznie gromadził się dziś wychództwo polskie, i w nieustannych szczęśliwych bitwach uzyskał szarżę generała artylerji i admirała holenderskiego. Powołany przez Władysława IV na służbę polską, on to w przeddzień wojen kozackich i „potopu“ pozabawioną broni palnej i dział Rzeczpospolitą uzbroił, był duszą bohaterskiej obrony Lwowa przed Chmielnickim, właściwym dowódcą w bitwie pod Zborowem, w której genjuszem swym i męstwem wojsko i Rzeczpospolitą ocalił, a przez to i bohaterów, zamkniętych z Jeremim Wiśniowieckim w Zbarażu. On to był mistrzem artylerji polskiej i zreformował na europejską modłę hołdujące przestarzałej taktyce wojsko polskie. Nic dziwnego, że postać ta pociągnęła *Jerzego Bohdana Rychlińskiego*, który od pierwszych dni powstania Państwa Pismem i czynem służył idei Morza Polskiego i stworzenia polskiej siły na morzu. W szeregu wstrząsających obrazów „PRZYGÓD KRZYSZTOFA ARCISZEWSKIEGO“ (Książnica Atlas), autor nakreślił nam jego ciekawe życie.

## WARTO ZOBACZYĆ

CZY MOŻE być coś piękniejszego, niż połączenie mądrości z fantazją? To właśnie znajdujemy u Szekspira w „ŚNIE NOCY LETNIEJ“. Kiedy Szekspira się czyta, na pierwszy plan wysuwa się poeta i mądry człowiek, znający ludzi, ich słabości i ułomności. Kiedy się sztuki Szekspira widzi w teatrze, najwięcej interesuje gra aktorska i akcja; a gdy się je ogląda w kinie, widzi się jeszcze przyobleczony w realny kształt fantastyczny świat poety, świat, który w czytaniu trzeba sobie tylko wyobrażać, a który w teatrze też jest niełatwy do odtworzenia. To też sfilmowanie „Śnu nocy letniej“, gdzie świat fantazji odgrywa tak wielką rolę, było zadaniem jakgdyby stworzonym dla kina, dającego tyle możliwości.

Realizacji podjął się Max Reinhardt, słynny niemiecki reżyser, którego sposób inscenizacji teatralnej, stworzył w historii teatru szkołę. Reinhardt pracował nad filmem „Sen nocy letniej“ w Hollywood przez długie miesiące, a chociaż film jest bardzo ładny, zawiódł jednak nadzieje tych, którzy spodziewali się czegoś dotychczas niewidzianego. Część fantastyczna, w kinie najbardziej popisowa, nie zaskoczyła nas niczem nowym. Kto zna dawniejsze filmy nieme, takie jak „Złodziej z Bagdadu“ (z Douglasem Fairbanksem) albo „Peter Pan“, ten widział już tam postaci, unoszące się w powietrzu i zmieniające kształty w naszych oczach. Filmy rysunkowe, w których też dzieją się rzeczy najbardziej „niemożliwe“, otrzaskały nas z różnemi trick'ami filmowemi. Ale chociaż nie nas już tu nie zadziwia, chętnie patrzymy na korowody rusałek w świetle księżyca, na psoty złośliwego duszka leśnego Puka, na przygody Spodka, którego król Oberon, przy pomocy czarów zamienił w osłą głowę.

Obejrzenie tego filmu, niezależnie od przyjemności wzrokowej i słuchowej (piękna muzyka Mendelssohna), zachęci napewno niejednego widza do bliższego zapoznania się z Szekspirem.

„INDYJSCY PIECHURZY“—to film, przeznaczony dla zwolenników Flipa i Flapa, grających w nim główne role. O żadnych wartościach artystycznych (temat, realizacja, fotografia) niema tu mowy, zato jest co niemiara śmiechu, wywoływanego przez popularnych komików Olivera Hardy'ego (Flip) i Stana Saurela (Flap).

Odtąd Buster Keaton i Harold Lloyd prawie nie ukazują się na naszych ekranach, Flip i Flap są jedynymi reprezentantami filmowego humoru, zresztą — doskonałymi.

Stef. H.

# 1936 KALENDARZ "ICKIER"

Jeszcze nie wyszedł, ale już  
wkrótce...



## Kłopoty Francji.

**S**OJUSZNICZKA i przyjaciółka nasza żywo się obecnie krząta zarówno u siebie w domu, jak na polu międzynarodowym. W domu walczy energicznie z kryzysem gospodarczym, nazewanym niemniej usilnie broni pokoju europejskiego.

Po raz ostatni wyraziście zarysowało się współdziałanie polityczne Polski z Francją we wrześniu na dorocznym zgromadzeniu Ligi Narodów. Polski minister spraw zagranicznych, p. Józef Beck, wziął wtedy żywy udział wraz z ministrami Francji i Anglii w pierwszym „komitecie pięciu“, powołanym przez Radę Ligi do zbadania zatargu włosko-abisyńskiego. Następnie zaś — na Komisji Gospodarczej Walnego Zgromadzenia Ligi francuski minister przemysłu i handlu, p. Bonnet, usilnie nawoływał do rozszerzenia międzynarodowej wymiany towarów, która skurczyła się ogromnie ostatnimi laty pod wpływem kryzysu. Zapewniał minister francuski, że jego kraj gotów jest zawierać w tym duchu nowe układy handlowe z każdym państwem, któreby się zobowiązało utrzymywać na stałym poziomie kurs swojej waluty. Gorąco poparł francuskiego kolegę ówczesny polski minister skarbu, prof. Zawadzki, wskazując jak wielkie ofiary poniosła Polska, ażeby utrzymać niezachwianą wartość złotego i pełną wypłacalność wobec wierzycieli zagranicznych. Wskazywał też nasz minister na konieczność ożywienia nie tylko handlu, lecz i kredytu międzynarodowego.

Oba te wystąpienia francuskie i polskie, przyjęte zostały przez uczestników Komisji z wielkimi uznaniem. Nasz minister jako przewodniczący tej komisji otrzymał nawet list z wyrazami uznania od amerykańskiego ministra spraw zagranicznych, p. Hulla. Jak dotąd jednak praktycznego skutku to polsko-francuskie nawoływanie nie osiągnęło, bo świeżo zawarty układ polsko-niemiecki, rozszerzający wymianę towarów między nami a naszym zachodnim sąsiadem, został zawarty niezależnie od Genewy.

Opornie idzie walka z kryzysem gospodarczym w stosunkach międzynarodowych głównie z powodu: kryzysu wewnętrznego, jaki przeważnie przechodzą poszczególne państwa narodowe, oraz z powodu międzynarodowego niepokoju politycznego.

Z kryzysem wewnętrznym Polska i Francja walczą, oczywiście, każda na swoją rękę, ale podobnym sposobem, który ekonomisci nazywają deflacją. We Francji zarówno jak w Pol-

sce kryzys spowodował zastój gospodarczy, i osłabił wypłacalność podatkową ludności. Stąd zmniejszyły się dochody skarbu i powstał niedobór w budżecie państwowym Francji sięgający 20%, w Polsce zaś około 10%. Latem przeto francuski rząd premiera Laval, na podstawie pełnomocnictw, udzielonych przez parlament, skłonił Prezydenta Rzeczypospolitej do wydania szeregu dekretych gospodarczych, które obciążyły mocno wydatki państwowe i podwyższyły niektóre podatki, ażeby zrównoważyć budżet. Z drugiej zaś strony inne dekryty zarządzają środki, mające doprowadzić do niższych cen artykułów pierwszej potrzeby (jak chleb, mięso, komorne) a więc do niższych kosztów utrzymania. Dekryty pierwszej grupy zmniejszają pensje i emerytury urzędnicze i są dla ludności przykre. Dekryty drugiej grupy wprowadzają ulgi dla ludności, ażeby łatwiej mogła ponieść konieczne dla państwa ofiary. Podobną metodę zastosowała też w walce z niedoborem budżetowym Polska.

Na arenie międzynarodowej wojna włosko-abisyńska spowodowała, jak już pisaliśmy, obawę wojny włosko-angielskiej. Na morzu Śródziemnym Anglia zgromadziła wielką flotę, gdy znów Włochy z Libji czterema dywizjami wojska lądowego zagroziły podległemu Anglii Egiptowi. Jednocześnie Komisja Ligi Narodów uchwaliła przeciwko Włochom jako napastnikowi Abisynji sankcje gospodarcze, czyli zarządzenia karne, wstrzymujące handel członków Ligi z Włochami. Te sankcje bardzo powoli wchodzą w życie i nie wiadomo, czy będą skuteczne. Ale wojna angielsko-włoska groziła wcale poważnie, ku największemu kłopotowi Francji, która pragnie pozostać w przyjaźni i z Włochami i z Anglią. Premier i minister spraw zagranicznych Francji p. Laval, usilnie przeto pośredniczył i dopiął w końcu tego, iż rząd angielski oświadczył, że nie wystąpi zbrojnie przeciwko Włochom inaczej, jak z polecenia Ligi Narodów, a wspólnie z innymi jej członkami, zwłaszcza Francją. Premier Laval ze swej strony zapewnił Anglię, iż Francja poprze ją nawet zbrojnie przeciwko Włochom, ale również tylko na rozkaz Ligi Narodów. Ponieważ zaś Liga nie może rozkazać Francji ani Anglii bez ich zgody i myśli tylko o sankcjach gospodarczych, a nie wojskowych, więc niebezpieczeństwo dla pokoju zostało na razie zażegnane.

Przy pośrednictwie francuskim Włochy targują się nawet z Anglią o wzajemne wycofywanie wielkich pancerników angielskich z morza Śródziemnego, oraz włoskich dywizyj lądowych z nad granicy Egiptu. Ponadto włoski dyktator Mussolini zaproponował Anglii coś w rodzaju podziału Abisynji. Rząd angielski jednak tej propozycji nie przyjął, choćby dla tego, że, aby dzielić Abisynję, trzeba ją koniecznie naprzód podbić. Dlatego też wojska włoskie znów zaczęły poważniej posuwać się naprzód w Abisynji. *Andrzej Prawdzic.*



■ 11 listopada odbyła się w Warszawie na polu Mokotowskim wielka rewja wojskowa w obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Defiladę przyjął generalny inspektor armii gen. Rydz Śmigły.

■ Ukazały się pierwsze dekrety Pana Prezydenta Rzeczypospolitej o nowym podatku od wynagrodzeń pracowniczych, o obniżce komornego, o stopniowym znoszeniu ochrony lokatorów, o oddłużeniu samorządu i rolnictwa.

■ Zwłoki jednego z najwybitniejszych działaczy okresu walk niepodległościowych, bliskiego współpracownika Marszałka Piłsudskiego, m. in. organizatora uwolnienia Piłsudskiego z więzienia w Petersburgu, Aleksandra Sulikiewicza, który padł w 1916 r., zostały przewiezione do Warszawy i tu 8.XI pochowane na cmentarzu wojskowym na Powązkach.

■ Policja Państwowa obchodziła swoje roczne święto w Warszawie. Podczas święta odsłonięto tablicę pamiątkową ku czci 17 policjantów, którzy padli w ostatnim roku na posterunku. W ciągu 17 lat poległo 591 policjantów w obronieładu i porządku.

■ Tegoroczni absolwenci szkół podchorążych przedstawieni zostali Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej na specjalnem przyjęciu.

■ Doroczne nagrody m. Warszawy w r. bież. otrzymali: za pracę naukową prof. Jan Łukasiewicz, za pracę literacką p. Pola Gojawizyńska, za powieść „Dziewczęta z Nowolipki”, za pracę muzyczną p. Karol Szymanowski, za prace artystyczne—rzeźbiarz p. Alfons Karny. Tego ostatniego dawni czytelnicy „Iskier” pamiętają jako rysownika „Iskier”, który swego czasu ozdobił „Iskry” wieli okładkami i winietami.

■ Na Wileńszczyźnie ukazały się wilki, które porywają bydło, pasące się na pastwiskach.

## Z SZEROKIEGO ŚWIATA

▲ Rząd włoski wystosował do Ligi Narodów i do państw, biorących udział w sankcjach, obszerną notę z protestem.

▲ Wojska włoskie zajęły 8.XI miasto Makalle w prowincji Tigre tak, że obecnie już prawie cała ta prowincja jest w rękach Włochów. Gubernatorem został mianowany ras Gugsu.

▲ W Niemczech 7 listopada na zlecenie kanclerza Hitlera nastąpiło rozwiązanie Stahlhelmu. Jednocześnie w tym samym dniu odbyło się zaprzysiężenie rekrutów armii niemieckiej.

▲ Z Serbji 600 000 Turków w najbliższym czasie przenosi się do Turcji.

★ Białostockie fabryki otrzymały zamówienie na dostawę koców dla armji Boliwji w Ameryce Południowej.

★ W Czechosłowacji jest zarejestrowanych 603 000 bezrobotnych.

★ Wypłynął (4.XI) z Gdyni do Nowego Yorku w nową podróż m/s „Piłsudski” zabierając 150 pasażerów i ładunek 1 100 tonn drobnicy i poczty. W drodze statek zawinął do Kopenhagi i Halifaksu.

## SZTUKA, NAUKA, TECHNIKA

● Polska Akademia Literatury odbyła roczne zebranie, na którym uproszono gen. Rydz Śmigłego, generalnego inspektora armji, o przyjęcie godności protektora Akademji oraz ogłoszono pierwszą listę odznaczeń „złotym wawrzynem” i „srebrnym wawrzynem” szeregu zasłużonych dla kultury osób.

● Nowy lot do stratosfery podjęli Albert Stevens i Orville Anderson w Rapid City w stanie Dakota (Am. Płn.). Osiągnęli wysokość 22 570 m po 4 g. 20 m. lotu.

## ZE ŚWIATA SPORTU

◎ Mjr. Karpiński przerwał (10.XI) lot do Australji w Prachnabie w Syjamie, a to z powodu wypadku z samolotem podczas startu na rozmokłym lotnisku. Samolot uległ poważnym uszkodzeniom, mjr. Karpiński odniósł lekkie rany, mechanik Rogalski wyszedł bez szwanku. Lotnicy zmuszeni byli przerwać dalszy lot i wracając okrętem do Polski.

◎ Lotnik australijski Broadbent pobił dotychczasowy rekord lotu Londyn — Australja (Kingsforda Smitha), przebywszy samotnie tę drogę w 6 dni 21 godz. 19 min. Z Anglii wyleciał z Croydon 2 listopada i przybył do Australji 9 go do portu Darwina.

◎ Z Kapstadu do Londynu odbył (5—11.XI) drogę w ciągu 6 dni 12 godzin lotnik brytyjski Levellyn z panią Wyndham, bijąc prawie o dobę rekord lotniczki Mollison.

◎ Między Paryżem i Madagaskarem podjęta została regularna komunikacja lotnicza.

## NA TROPIE HARCERSKIM

+ Harcerki otrzymały od admirała Unrug teren, na którym wybudowany zostanie ośrodek żeglarski.

+ Byt Harcerstwa Polskiego w Stanach Zjednoczonych został zabezpieczony przez Sejm Związku Narodowego Polskiego, który uchwalił po 2 centy miesięcznie od każdego członka na rzecz Harcerstwa.



# ROZRYWKI

## 1. Liczbówka „wiązana”.

(pod. Wacław Hoppe z Warszawy).

|       |    |    |    |    |    |    |    |    |    |    |    |
|-------|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|
| 1-2   | 18 | 3  | 20 | 1  | 22 | ×  | 16 | 2  | 13 | 12 | 6  |
| 3-4   | 5  | 13 | 12 | 7  | ×  | 2  | 3  | 23 | 13 |    |    |
| 5-6   |    | 12 | 9  | 20 | ×  | 16 | 8  | 13 |    |    |    |
| 7-8   | 15 | 1  | 22 | 6  | ×  | 16 | 15 | 20 | 19 |    |    |
| 9-10  | 8  | 1  | 20 | 15 | 1  | ×  | 18 | 18 | 5  | 13 | 10 |
| 11-12 |    | 1  | 22 | 15 | 13 | ×  | 3  | 9  | 1  | 13 |    |
| 13-14 |    | 19 | 22 | 1  | 13 | ×  | 13 | 1  | 19 | 13 |    |
| 15-16 |    | 10 | 3  | 22 | 17 | ×  | 11 | 14 | 22 | 10 |    |
| 17-18 | 18 | 2  | 16 | 9  | 22 | ×  | 20 | 18 | 9  | 16 | 10 |
| 19-20 |    | 13 | 19 | 9  | 21 | ×  | 3  | 9  | 22 | 10 |    |
| 21-22 |    | 20 | 1  | 3  | ×  | 21 | 1  | 20 |    |    |    |
| 23-24 |    | 19 | 13 | 1  | 13 | ×  | 22 | 10 | 10 | 13 |    |
| 25-26 | 5  | 22 | 12 | 19 | 3  | ×  | 1  | 16 | 9  | 20 | 4  |

W podaną figurę wpisać 26 wyrazów (po dwa w każdym rzędzie o wspólnej literze w rzędzie środkowym jako końcowej jednego, a początkowej drugiego wyrazu) o podanym niżej znaczeniu. Rząd środkowy da rozwiązanie.

*Znaczenie wyrazów:* 1-2 potrawy, 3-4 tłuszcze, 5-6 części okrętu, 7-8 ptaki, 9-10 poeci polscy, 11-12 rzeki w Europie, 13-14 nazwy statków, 15-16 postacie mitologiczne, 17-18 planety, 19-20 pierwiastki chemiczne, 21-22 jeziora, 23-24 jednostki miary, 25-26 owady.

## 2. Układanki szaradowe.

(pod. Jerzy Weisslitz z Krakowa).

- Skorupiak (wspak) + o = więzienie.
- Taniec inaczej + o = pierwiastek chemiczny.
- o + miasto w Rosji = miasto w Polsce.
- o + okres czasu = część wyrazu.
- Narodowość + o = stolica europejska.
- Żołnierz + spójnik + o = stolica Mongolji.
- o + samogłoska = polski okręt transatlantyki.

(o = pierwiastek chemiczny).

## 3. Konikówka.

(pod. Jan Nieć z Sanoka).

|       |     |      |       |
|-------|-----|------|-------|
| si    | na  | chać | chać  |
| tym   | ko  | ły   | ko    |
| biach | ce  | w    | ba    |
| tam   | w   | dzie | zejsć |
| mią   | głę | są   | je    |
|       |     | trze | by    |

Odczytać ruben konika szachowego „złotą myśl” Stanisława Wypińskiego.

## 4. Literówka.

(pod. Jerzy Weisslitz z Krakowa).

- 3 — 1 — 4 — 5 — 2 = ozdoba rycerzy,  
1 — 4 — 5 — 2 = znany kwiat,  
4 — 5 — 2 — 1 — 3 = przyrząd do pisanja,  
Całość dobrze znacie.

## Rozwiązanie zadań z Nr. 10.

1. **Liczbówka astronomiczna:** Janssen, Cassini, Huggins, Kirchhoff, Newcomb, Laplace, Shapley, Leavitt, Bradley — Jan Kepler.  
2. **Zgłoskówka:** Pe-ru-ka. 3. **Łamigłówka mrowana:** I. Ameryka, kamera, marka, kara, kra, ra, a; II. Grenada, arenda, arena, rana, Aar, ar, a; III. Kolebka, koleba, Bolek, blok, bok, Ob, b.

## Z konkursu wakacyjnego dla miłośników fotografii.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy jeszcze dwie wyróżnione fotografie *Piotra Werlensteina* z Warszawy z cyklu „widoków leśnych”. Jedna z nich znajduje się na stronie tytułowej, druga — na stronie 179.

## Dla miłośników poezji.

Podajemy 12 wyjątków ze znanych utworów jednej poetki. Odgadnąć, z jakich utworów wybrano wyjątki i kto je napisał.

1.

Kto tam w moje ciche noce,  
Jak ptak w pętlach się trzepoce  
I skrzydłami mdłemi trąca  
O mojego sierp miesiąca?

2.

A noc słuchała smętna, a niebiosy  
Pełne się zdały iskier, i płomieni,  
I ech żalonych, zmieszanych w rozdźwięki  
I w jakieś ciche westchnienia — i w jęki.

3.

Czy wy myślicie, że łyżę te gorące,  
Które mi płaczą od wieków tysiące  
Zgaszą słońce i cień wiecznej nocy  
Rzucą w oblicze wszechmocy?

4.

Dziś samym walczyć nie można zapałem:  
Myśl przekuj w słowo, a słowo zrób ciałem!  
Siej za swym pługiem nie mary, lecz czyny.

5.

Wasze boje będą kłęką,  
Wasza śmierć niemęska —  
Bez miłości, bez zapału,  
Bez czi ideału.



6.

Choćby tyle, ile rosy  
W polnym kwiecie drży...  
Wiosno! ziemi! wy, niebiosy,  
Szczęścia dajcie mi!

7.

Moja rodzina — wicher, co lata,  
Moje dziedzictwo — piosenka skrzydlata,  
A moja ścieżka — tułaczka wrota  
A moje życie — wieczna tęsknota.

8.

Oj, będziesz ty, będziesz panem,  
Ni to królem, ni hetmanem...  
Twoje państwo jak świat długi,  
Zaorany twemi plugi.

9.

A kto mi zapłaci  
Za tę jasność bożą,  
Co w moje okienko  
Idzie z każdą zorzą?

10.

Ale dzwony twarde serca  
Zimną pierś miały.

11.

Na każdy dzień, na każdy czas  
Tyś nam jest domem ducha;  
I żywy nam jest każdy twój głos,  
I każdy mówi, słucha...

12.

I ja żołnierzem byłem w młode lata,  
I jam niósł w boje za wolność me życie.  
Wiem, jak redutę dym z harmat oblała,  
Jak świszczą kule, jak grzmi działobicie.

**WŁÓŻ SŁUCHAWKI!** Niedziela 17.XI: 10.30 Nabożeństwo z kościoła św. Krzyża w Warszawie. 12.15 Poranek muzyczny z Krakowa. 16.00 „Czem jest twój tatuś? strażakiem?” audycja dla dzieci. 16.45 „Cała Polska śpiewa”. 19.00 Znane utwory w układzie na zespół fortepianów. 20.00 „Halka”, opera Moniuszki, z Opery Warszawskiej. **Poniedziałek 18.XI:** 17.20 Koncert skrzypcowy a moli Głazunowa. 17.50 „Z podróży po ogrodach zoologicznych” 18.00 Recital fortepianowy. 18.30 Listy od dzieci. 21.00 Wieczór literacki, poświęcony St. Żeromskiemu. 21.30 Koncert utworów J. I. Paderewskiego. **Wtorek 19.XI:** 12.15 Audycja dla dzieci młodszych ze szkół. 16.45 „Cała Polska śpiewa”. 17.00 Odczyt o cukrze. 18.00 Rachmaninowa „Rapsodia na tematy Paganiniego”. 21.00 Transmisja z Konserwatorium Warszawskiego. **Sroda 20.XI:** 16.00 „Wędrowki dokoła globu” audycja dla dzieci. 16.45 „Rozmowa muzyka ze słuchaczem radia”. 17.20 Groteski muzyczne. 18.00 Kwintet fortepianowy Schumanna. 21.00 XII audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina”. **Czwartek 21.XI:** 12.15 Poranek muzyczny dla szkół powszechnych. 16.00 „Nos” opowiadanie Starego Doktora dla dzieci. 16.45 „Cała Polska śpiewa”. 18.00 Recital fortepianowy. **Piątek 22.XI:** 12.15 Audycja dla dzieci starszych ze szkół. 15.30 Kwartet salonowy. 16.00 Pogadanka dla chorych. 16.45 „Historia o Marceljanku i jego węzélku dla dzieci. 17.00 „Czy należy się obawiać nowej epoki lodowej?” odczyt. 17.20 Recital wiolonczelowy. 17.50 Poradnik sportowy. 18.30 Recital śpiewaczy M. Trąpczyńskiej. 18.45 Utwory Piotra Mascagniego. **Sobota 23.XI:** 16.15 Utwory na cytrze. 16.45 „Cała Polska śpiewa”. 17.00 Reportaż M. Wańkowicza z Prus Wschodnich. 17.45 „Świat naszych zwierząt” pogadanka. 17.50 „Nasze miasta i miasteczka”. 18.00 „Ko-ho-ho” słuchowisko dla dzieci. 20.00 Koncert solistów. 21.00 Audycja dla Polaków z zagranicy, poświęcona Moniuszce.

## KOMU POCZTA NIE DORĘCZY NUMERU

niech natychmiast

po otrzymaniu numeru następnego

wysłać reklamację do Administracji  
(„Reklamację” są wolne od opłaty pocztowej)

Administracja załatwi reklamację bezpłatnie  
w ciągu miesiąca od daty zaginionego Nr.

Później należy nadesłać na numer i przesyłkę 60 gr.

## NOWI PRENUMERATORZY

MOGĄ NABYĆ  
(wraz z przesyłką) **po 5 zł.**

DAWNE ROCZNIKI „ISKIER”

Z R.

**1927, 1929, 1930, 1932.**

### CO JEST W ROCZNIKU 1927?

Mały Jim, powieść K. A. Czyżowskiego.  
Zwycięzcy przestrzeni, powieść St. A. Zielińskiego.  
Ze szkolnej ławy, wspomnienia Aleksandra Janowskiego.  
O Warszawie, której nie znamy, opowiadania H. Duninówny.  
Bracia Grakhowie, opowiadanie prof. T. Zielińskiego.  
Piechota, koleją i statkiem, wrażenia turystyczne W. Prażmowskiej.  
Opowiadania o życiu N. Żmichowskiej.  
A. Asnyka, (A. Drogoszewski).  
A. Andrzejewskiego, (B. Dyakowski), Beethovena.  
(H. Duninówna), Canovy, Poussina (M. Gerson-Dąbrowska), św. Franciszka z Asyżu.  
J. I. Kraszewskiego (A. Kopczewska), J. Słowackiego, St. Wyspiańskiego (L. Płoszewski).  
Pestalozziego, Newtona, Baden-Powell (W. Prażmowska), B. Prusa, Ujejskiego (M. Stypińska), M. Rodziewiczówny (M. Walewska), A. Dygasińskiego (Wł. Wołert) — i in.

37 różnych opowiadań i obrazków z życia.  
70 różnych artykułów bieżących.  
140 utworów wierszowanych.  
31 artykułów historycznych.  
36 artykułów przyrodniczych i technicznych.  
27 artykułów krajoznawczych.  
30 artykułików harcerskich.  
22 artykułiki sportowe  
i mnóstwo innych drobiazgów.

Uprzejmie prosimy wszystkich

**O REGULARNE**

**WPLACANIE PRENUMERATY**

Wysyłanie przypomnień i inkasowanie  
prenumeraty przez pocztę zwiększa koszty.



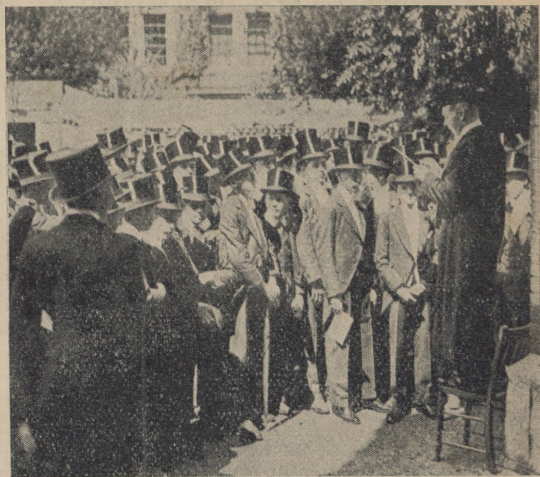
ILUSTRACJE: *Na 1 stronie*: — Las, fotografia konkursowa Piotra Wertensteina z Warszawy.

*Na ostatniej stronie*: „Jak wam się to podoba?": (obok) Studenci Kolegium Eton w Anglii podczas odczytywania „listy obecności". (U dołu): „Parada" w Akademii Wojskowej w Valley Forge w Stanach Zjednoczonych — kadeci mają po 3 metry, a porucznik prawie 5 metrów!

— Co? dziesięć złotych dziennie za pokój to za drogo.

— Ależ proszę pana, pokój duży, dwuokienny.

— Może pan jedno okno zasłonić roletą, dla mnie zbyteczne.



— Jasiu, jesteś okropny — woła zrozpaczony ojciec do małego synka — od dwóch godzin zamęczasz mnie pytaniami. Bądź raz cicho. Czy nie wiesz, że jest nawet bajka o kocie, który zdechł, bo był zanadto ciekawy.

Chwila ciszy. Po paru minutach odzywa się głosik Jasia:

— Tatusiu, a co ten kot chciał wiedzieć?

Rowerzysta najeżdża przechodnia.

— Cóż to pan dzwonić nie umie? — woła oburzony przechodzień.

— Dzwonić to ja umiem, ale jeździć niebardzo.

Treść Nr. 11: Rycerz Polskiej Sprawy, bryg. Czesław Mączyński (*Wisława*) z 1 il. — A i B, z kursów szybowcowych (*M. Kannówna*) z 2 il. — Walka o chleb (*L. Ron*) — Pod starym wykretem, o niedźwiedziu w Polsce (*inż. Wł. Lindemann*) z 3 il. — Warto przeczytać, z 1 il. — Sztandary pułkowe, wiersz (*St. Kossuthówna*). — Warto zobaczyć. — Kłopoty Francji (*A Prawdzie*). — Gazetka. — Rozrywki z 2 il.

Dodatek powieściowy: Zofja Miszewska „Pierwsza droga", str. 33 — 48.

PRZEDPŁATA „ISKRY": z przesyłką pocztową rocznie 16.00, półrocznie 8.50, miesięcznie 2.00. NUMER POJED. 45 GR.  
TEL. 8.93.92 ZAGRANICĄ: do ceny z przesyłką dodatkowo miesięcznie 40 groszy. P.K.O. 13.893  
CENY OGŁOSZEŃ: cała strona 250 zł.,  $\frac{1}{2}$  150 zł.,  $\frac{1}{4}$  80 zł.,  $\frac{1}{8}$  50 zł.

WARSZAWA  
XXII

Redaktor i Wydawca: WŁADYSŁAW KOPCZEWSKI  
Pod opieką Tow. Naucz. Szk. Średn. i W. (T.N.S.W.)

FILTROWA 75

DRUK ST. NIEMIRY SYN i S-ka, WARSZAWA, PL. NAPOLEONA, 4, TEL. 676-40. POD ZARZ. J. PUCHAŁSKIEGO

Należność pocztowa opłacona ryczałem.